Nr. 7. We Lwowie dnia 16. lutego 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nieogłoszone fragmenty „Pana Tadeusza"

Juljusza Słowackiego[1]).

Pan Tadeusz został w armji adjutantem,
Rejent pisarzem, Sędzia zboża liwerantem,
Hrabia dowodzi nowych ułanów szwadronem,
Wszystko się pociągnęło za Napoleonem,
Poszło w marsz... W domu smętne wzdychają małżonki,
Pani Tadeuszowa odmawia koronki,
Nowenny; Telimena klnie domową ciszę,
Smętek mgieł — patrzy w okna, wzdycha, listy pisze,
Albo z książką francuską idzie w szary kątek,
Pod piec — i tonie w smętnych bałwanach pamiątek.
Wojski także, niezdolny do rycerskich czynów,
Został, dogląda w domu kobiet — i kominów.
Tymczasem nadchodziła ta okropna zima,
Twarda, groźna, iskrząca się komet oczyma,
Którą w Litwie przeczuwał wcześnie naród cały,
Niebo bladło — szron iskrzył — gwiazdy zczerwieniały,
Miesięczne tęcze całe stawały w kolorach,
Mroźne kameleony przy chatach, oborach, —
Zostawiwszy w nim różne pamiątki przyjazdu, —
Jak kukułka cudzemu, gdzie mieszkała, gniazdu.
Nie wszystkie dobre — Było cośkolwiek grabieży
I rabunku na wiosce — kilku coś żołnierzy
Z flint do litewskich chłopów trzasło, jak do blanków,
Nie mogąc się rozmówić z ludem mową franków,
Pan ekonom ze łzami skargę o to czynił,
Sędzia się zrazu sierdził, potem zaś obwinił
Wojnę, wojnie przypisał zło i zwierzęcoście
Ludzkie — nawet francuskie poturbował goście
Skargą i prośbą, ale cóż, gdy starca treny
Przejść musiały przez usta Pani Telimeny,
Która sędziego widząc po polsku i z płaczem
Mówiącego, stanęła mu zaraz tłómaczem.
Na taki język skargę onę przełożywszy,
Że się Francuz, słuchając, uczuł najszczęśliwszy.
Vos larmes — rzekł — et vos beaux yeux i tak komplimenta
Sypał, że najwierniejsza małżonka regenta...
A co pół mili drzewo pochylone czeka
Z krzyżem, jak z rąk otwarciem świętych do człowieka.
...Inaczej na Podolu, tam kraina cała
W różne się kwiaty pięknie błyszczące ubrała,
Te prowadzą wędrowca po obu stron drogi
Tęczami ścielonemi. Czy to dziad ubogi,
Czy chłop jarmarczny wraca, to uroda żywa
Kłosków i kwiatów rzeką z pod nóg mu przypływa.
W tej krainie stał także dwór mały, szlachecki,
Nad stawami, na model jeszcze staroświecki
Wybudowany: Jedno piętro, lecz rozciągłe,
Ganek, w którym drewniane stały słupki krągłe,
Od dziedzińca — Zdala okopany i płotem
Ogrodzony dziedziniec, zwykłym kołowrotem
Zamknięty, gdzie bodiaków morze purpurowe
Lało się gdzieś od mogił, pod progi domowe,
I dziwnej przydawało domowi powagi,
Który był z drzewa, szary, zgrzybiały i nagi.
Rzekłbyś, że tak od dawnych napadu Tatarów
Został dom opuszczony i patrzy się z jarów,
Aż przyjadą panowie od stepu husarni.
Szyb ostatkami błyszczy, jak rzędem latarni...
W tym domu smętnym mieszkał niedawnemi laty
Szlachcic znacznej rodziny, ale niebogaty,
Wdowiec, wielki miłośnik dawnych starych czasów,
Sławny niegdyś wojownik, stronnik partji Sasów,
Pan Struś, zwany powszechnie teraz Złotą czachą,
Łeb bowiem miał rozbity i kruszczową blachą...
Prawdziwy Ukrainiec, przez swe nieboszczyki
Ojce, wolne jak orły, ustrzeżon za młodu
Od niskich żądz. — poeta przez natchnienie rodu
Milczący (Niby instrument). Choć na ścianie wisi nieruszany,
A jednak kiedy księżyc uderzy rumiany

---

[1]) Niniejsze urywki, dopełniające wiadomość o tym epicznym poemacie, podaną w „Warcie" poznańskiej z 1881 r., wychodzą tu po raz pierwszy w druku, podług autografu znajdującego się w Zakładzie Ossolińskich między nieśmiertelnemi strofami „Króla Ducha". Podejmuje w tym utworze poeta, podobnie jak w ogłoszonych niedawno (w „Tygodniu") fragmentach „Dziadów" i znanych próbach „Wallenroda", wątek arcydzieła swego wielkiego rywala. Tłómaczę to sobie chwilowem, pod koniec życia, zbliżeniem się jego do Adama, w owej dobie, kiedy to oczyściwszy serce swe z wygórowanej ambicji, zapalał w niem pochodnię miłości, ogarniającej świat cały. Na znak hołdu, osnuwszy czarem swej „bluszczowej" fantazji nieśmiertelny pomnik sławy wieszcza, rozpoczął poemat swój na tem miejscu, gdzie go tamten skończył. *H. Biegeleisen.*

W okna, a świerszczyk w muru szczelinach zaśpiewa,
Odzywa się głos jakiś smętny, w suszy drzewa.
Tak i on człowiek, byle gdzie od natchnień siły
Serce się ducha w Polszcze dziejowe ruszyło
I podniosły nadzieje — wnet się cały mienił,
On zaraz ku tonowi temu aż w gwiazd koła
Wypuszczał ducha, ze świtem, jak sokoła,
I wnet zgadywał ruchu świętego przyczyny,
Wszystko w krąg obejrzawszy i błękitów krainy
Napełniwszy smętnemi myślami...

O Krzyżakach.

Przez

3 **Marję Konopnicką.**

Uderza to w „Krzyżakach“, iż ludzie są tam prawie ciągle w drodze i na koniu. Przeciągają dwory książęce, przeciągają orszaki panów i rycerzy; przeciągają pojedynkiem, samowtór, samotrzeć, kupą; na wschód, na zachód; a gdyby tak na upartego policzył, okazałoby się, że taki np. Maćko z Bogdańca, — trzy czwarte powieści wprost przejeździł, że już o młodszych nie wspomnę.

Jakaś gwałtowna żądza i potrzeba ruchu, jakieś instynktowne parcie naprzód, przed siebie, ku jutru, jakiś pośpiech w wybieganiu naprzeciw czasom i zdarzeniom tkwi w ludzkich duszach, jak bodący oścień. Kto wesół, rzeźki, silny, ten konia siodła i jedzie. Kto zasię smutny, bolejący i zdeptany dolą, ten także konia siodła i także jedzie.

Jedzie z pieśnią na ustach lub z frasunkiem w sercu; jedzie z pacholikiem, lub bez pacholika, z tarczą, lub bez tarczy, z blizkim, lub zgoła nieuchwytnym celem, ale zawsze z tem niemylnem czuciem, że go coś rwie, coś pcha, coś woła. Tak czyni Maćko czasu zdrowia i choroby, tak czyni Zbyszko czasu wesela i żałości; tak czyni Opat z wagantami swymi, tak czynią wszyscy niemal, bo aż do dziewcząt nawet; a kto za piecem doma siedzi, porasta w kudły jako Cztan, i za chłopa stoi. Ba! śmierć nawet sama konno za Zygfrydem jedzie, i nagli go do pośpiechu na gałąź, zdyszanym. w truchcie szeptem...

Dopiero taki, który z boju życia, pniem obrąbanym wyjdzie jako Jurand, dopiero taki, odpoczywa, ucisza się w sobie trochę — przed-wieczną podróżą.

A i temu jeszcze echa dawnego ruchu przynosi pieśń, jak owa, którą rybałtowie Jurandowi, zapadającemu w zmierzch wieczny śpiewają:

„Jedzie Jurand, jedzie,
Na siwawym koniu“...

A w cichej, prawie że klasztornej komnacie słychać daleki gdzieś, daleki tentent cisawego...

Zauważmy wszakże, iż cały ten ruch w ludziach, ruch indywidualny i zewnętrzny, jest wyrazem ogólnego, wewnętrznego pędu ku przyszłości. Zauważmy, że jestto bicie pojedynczych drobnych fal, w wielkiem i szumnem rozkołysaniu wezbranych, bujnych wód życia. Że owszem, jest ruch ten, w znacznej swojej części, nie czem innem zgoła, jak instynktownem szukaniem, choćby chwilowego ujścia dla tego nadmiaru sił, o którym mówi Sienkiewicz, iż: rozpierał rody i całą społeczność tak, że była jako war, który musi z naczynia wykipieć.

Ale jeżeli ruch ten, bywa nieraz w figurach powieści instynktowny tylko, jak np. w Zbyszku, gdy nie mogąc sobie rady znaleźć w żałości po Danusinej śmierci, siodła konia i z dworca precz jedzie, — w sprawie budowy powieści jest ruch ten zawsze świadomie użytym, i mistrzowsko zastosowanym do biegu wypadków czynnikiem.

Nietylko bowiem wtajemnicza on nas w głęboki i często sam sobie nieuświadomiony pokład ówczesnej duszy ludzkiej, dobywając z niej na światło rys ogólny, a bardzo znamienny, ale otwiera przed nami na oścież całe wnętrze kraju, jego drogi i bezdroża, jego zamki i dwory, wsie i grody, jego polne i puszczańskie ziemie, jego różnobarwne dzielnice, jego kulturę, obyczaj, pojęcia, uczucia, jego bogactwo i niedostatki, jego zewnętrzne i wewnętrzne życie. Bierze tu poprostu Sienkiewicz cały ruch ten, cały pęd, pod wiosło swoje jak posłuszną falę, nastawia mu żagiel, jak podatnemu podmuchowi wiatru, posługując się tym naturalnym motorem, z wielką epicką, maestrją tak dla zbliżania i rozdzielania ludzi z ludźmi i wypadków z wypadkami, jakoteż dla nawiązania rozległej sieci komunikacyjnych środków, między epoką dzieła i percepcją naszą. A tak cały ten ogromny materjał epicki, zupełnie prawie wyzwolony od czynników narracyjnych, które z natury swojej musiałyby mu odjąć wiele pierwiastków poetyckiego piękna, — cały ten materjał roztacza się przed nami jako

szereg przepysznych obrazów, ukazujących się w oprawie coraz to innego momentu, i w świetle tak różnolitem, jak różnolitą jest ta psyche ludzka, przez której pryzmat na obrazy owe patrzymy.

A jestto jedyne zwierciadło nie fałszujące czasu swego: samo bowiem jest i dziełem jego i odbiciem.

Bo ten czas prastary, zgoła nie jest wykładany w „Krzyżakach“ w języku nowoczesnych pojęć, co musiałoby koniecznie otrząść go z osędziałości jego i patynę jego szacowną uszkodzić; on zawsze i wszędzie, jest wykładany w języku pojęć i uczuć współczesnych sobie.

Żaden też moment powieści, żaden psychiczny jej motyw, nie jest mędrszym, doświadczeńszym i bardziej złożonym od swojego czasu, co właśnie nadaje dziełu nietylko przedziwny wdzięk i świeży rumieniec życia, ale także ogromny ład, ogromną zwartość i logikę organiczną prawie.

Ale do tych decydujących względów przybywa jeden jeszcze — ważny. Oto ten ruch, ten wrzątek nadmiaru sił żywotnych, nie był u nas zjawiskiem luźnem, miejscowem, i od tła ogólnego życia oderwanem. I w reszcie Europy działo się mniej więcej toż samo. I tam tkwił w duszach ludzkich ten oścień bodący.

Tylko że w tych innych, nie tak polnych, nie tak może silnie tkwiących w macierzystej ziemi ojczyznach, ruch ten pchał ludzi za granice kraju i społeczeństwa, wyrywając z powszechności jego, co bujniejsze jednostki; — u nas zaś, pchał on ludzi raczej za granice czasu, za granice przeżywanego momentu, pchał ich ku jutru, i wyrażał sobą ów „pęd niewstrzymany, którym idzie do wielkości dusza powszechna.“ Samo wszakże zjawisko tej niemożności trwania w miejscu, zjawisko nieodłączne od fermentu stawania się, leżało niezawodnie w powszechnych warunkach życia i oddziaływało na szerokie przestrzenie.

Jakoż, oprócz postronnych, przebywających w Malborgu rycerzy, z których każdy, póza wojennem ćwiczeniem, szukał „girlandy awantur“, gęsto snuje się w powieści taki pan de Lorche, naprzykład, którego obca fala na brzeg nasz rzuciła i o którym zarówno powiedzieć można, iż szuka rycerskiej sławy, jak i wiatru w polu. Że, pomijając kupy przeróżnych wagantów, wspomnę tylko jeszcze takiego Sanderusa, który z charakteru pątnika, nawet przy pełnej misie, nie wychodzi; i zawodowo, iż tak rzekę, guza po świecie szuka.

A tak, do tego rysu bujności życia, który się owym nadzwyczajnym ruchem w powieści tłomaczy, przybywa jeden jeszcze rys ogólny, a bardzo znamienny, — rys pochylenia się owoczesnej Polski — ku Zachodowi.

Istotnie cała ta kraina, tak bujna, tak wezbrana życiem i której handlowi świeżo się otwarły „niezmierzone ruskie i litewskie kraje“, cała ta kraina, jest zapatrzona, zasłuchana w — Zachód.

Są ci jeszcze w oknach błony albo róg strugany; ale oczy wybiegają przez te okna daleko na Zachód. Jeszcze się bramy miejskie zapadają o zmierzchu z łoskotem wrzeciądz i brzękiem łańcuchów; ale wrażliwość na podmuchy Zachodu — dzień i noc otworem stoi. A nietylko stoi otworem u mieszczan, którzy z natury swojej są żywiołem najruchliwszym i najbardziej na wiatr podanym, — ale i u ziemian, rycerzy. Ztąd też, kiedy w Tynieckiej gospodzie „pod lutym turem“, opowiada bywalec, co i gdzie widział po świecie, zarówno mieszczankowie z pod składanych czerwonych sukiennych czapek, jak i rycerze z pod kryjących im włosy pątlików — nastawiają ucha.

Nic to, że w takim Sieradzu, gdzie Zbyszko na gospodzie wywiesza deskę z wyzwaniem każdego, kto stanąć zechce na bój pieszy, albo konny, ku czci Danusinej cnoty i urody, — wyzwania tego nikt przeczytać nie umie, a gdy się nalazł rozumiejący pismo „Clericus“, który deskę wyrozumiał, słuchacze dźwigają ramionami i mówią: „głupi!“

Bo najpierw, „Sieradz przeciw Krakowa jest jak głownia przeciw słońcu“ — powiada Maćko z Bogdańca, — a powtóre, przygodziło się to nietylko w Sieradzu, ale i w Łęczycy także, acz i w innych wielu grodach też przygodzić się mogło.

Za to Mazowsze, na granicznym okraju ziem polskich leżące, już zna, już naśladuje pilnie wszelki obyczaj rycerski, a śpiewny dwór Księżny Anny Danuty, cały na obyczaju tym stoi.

Rycerstwo, kawalerstwo, to nie dźwięk już pusty. To dla starszych „zakon czci bojowej z wrogiem i przeciw wrogu“, a dla młodszych szkoła rycerskiej służby i rycerskich ślubów. Co prawda, to śluby te, nie wszyscy jeszcze dobrze rozumieją.

Kiedy pan de Lorche, spotkanym w drodze rycerzom, ni ztąd ni zowąd oświadcza, iż dama jego, czterdziestoletnia i zamężna pani Ulryka, której oni na oczy nie widzieli, jest najcudniejsza i najcnotliwsza ba, najmłodsza z dziewic we wszystkich królestwach świata i zaraz tuż na bój ich śmiertelny wyzywa, gdyby temu przeczyć chcieli, — Maćko z Turobojów trzy razy spluwa w bok, gdyż „ma posądek“, że w onym kawalerze „djabeł siedzi“. Dopieroż jak mu z nagła w samo ucho krzyknie: „pochwalony!“, a pana de Lorche „ani to nie zapieniło, ani o ziem nie rzuciło“, — uspakaja się stary szlachcic i mówi: — „Możem jechać.“

Co młodsi wszakże, nawet i nie pasowani jeszcze rycerze, znają formy ślubów takich i chowają je pilnie, z „cudną dziewiczego serca godną powagą“. Oni praktykują owszem cały naiwny wikwint rycerskiej służby w obec „paniej swojej“. Tak przy porannem spotkaniu Danuśki cofa się Zbyszko krokiem, jakoby porażony urodą, której przez noc „paniej“ onej przybyło, choć to był przecie taki sam „skrzat“ dziś, jak i wczoraj.

Ten wpływ zachodu, pokazuje nam Sienkiewicz, nietylko od strony obyczaju rycerskiego, ale i od strony rycerskich korzyści.

Wiadomo, jaką rolę w Zbyszkowych losach odgrywa owa zdobyta na fryzyjskim szlachcicu, biała atłasowa, haftowana w złote gryfy „jaka“, że już nie wspomnę o „prześlicznych spodniach“, też zdobycznych, u których każda nogawica była w inne pasy. Kiedy się Zbyszko w stroju owym ukazuje dworowi Księżnej Anny Danuty, ta „jaka“, i te pasiaste nogawice czynią na obecnych „mocne wrażenie“, i prawie przysiądz by można, że wywołują nietylko podziw i zazdrość, ale chęć naśladownictwa także. Gdy zaś strój ten przywdziewa Zbyszko do Zgorzelic jadąc, Jagience zdaje się wprost, że to królewicz z bajki, tak inny, tak cudniejszy jawi się jej w tym stroju, nad wszystko, co i przy największym odpuście w Krześni widzieć mogła. I albo bardzo się mylę, albo sprawa kudłatego Czetana, który o zakład w półkożuszku chadzał, w tym właśnie momencie, wobec tej fryzyjskiej „jaki“ i wobec tych zielonoczerwonych i niebiesko-pomarańczowych nogawic fryzyjskich, — z kretesem przepadła.

Zkąd inąd wszakże, i to jest zaznaczenia godnem, ta Polska, wzorująca się naiwnie na obyczaju Zachodu, wie o tym Zachodzie daleko więcej, niżeli on o niej. Nietylko rycerze nasi wielbią i rozważają sławę wielkiego „Jana z Arragonu“, ale pospolita szlachta wie naprzykład, że „do kuszy najlepszy Angielczyk, że Czech obrotny jest do topora“, a „Szwajcar do żelaznego cepa“. Wie, że „najwięksi rycerze“ z Francji pochodzą i że bijąc się z konia czy pieszo, — „okrutnie waleczne słowa gadają“, których wszakże nie wyrozumiesz, „bo ta mowa jest jakoby w cynowe misy brząkał“. I podczas gdy to wszystko wie zwykła szlachta, pijąca piwo w tynieckiej gospodzie, taki pan de Lorche w świecie jeżdżący, pewien jest, że Litwini są saracenami i że w kurpioskiej puszczy lęgną się smoki, którym ludność musi dawać „dziewice“ na pożarcie. Owszem. On gotów nawet przeciw tym smokom walczyć i dziewice owe z paszczęk ich wyzwalać. A tak pokazuje się, że gdy owa tradycjonalna nieświadomość, — Francji zwłaszcza o nas, sięga w przeszłość głęboko i wierna jest do dziś sobie — w Polsce, na przestrzeni całych wieków była zawsze żywa i silnie rozbudzona ciekawość do spraw i życia Zachodu.

A potem — mieszczaństwo. Ówczesne krakowskie mieszczaństwo, to nietylko już arterja dla wpływów Zachodu, to w znacznej części sam Zachód, klinem między rdzenną masą ludności wbity, który w złoto pęczniejąc, siedział mocniej coraz.

„Nawojka“

komedja w 3 aktach St. Rossowskiego.

W roku 1823 wydał prof. gimnazjum poznańskiego Jan Motty z rękopisu z XV. w. książeczkę do nabożeństwa, której właścicielką uczynił św. Jadwigę, księżniczkę śląską. Ponieważ zaś w tym rękopisie kilkakrotnie powtarza się imię Nawojki, osoby, która miała się modlić z tej książeczki, więc przezwano ją za Maciejowskim „Książeczką Nawojki“, i tak powstały dwie właścicielki tego zabytku piśmiennictwa polskiego. Niebawem druga właścicielka przyćmiła znaczenie pierwszej, gdy Małkowski i Rymarkiewicz opromienili imię Nawojki blaskiem romantycznego pomysłu. Pierwszy z nich oparł się na ustępie samego rękopisu, gdzie autorka mówi o swoim „stokroć większym grzechu, niż Magdaleny“ i wywiódłszy pochodzenie Nawojki ze szlacheckiej rodziny Toporów, opowiedział o niej, że splamiła cześć rodzinną i pokutując za to w klasztorze Dominikanek, napisała tam swój modlitewnik. Do tego dodał Rymarkiewicz wiadomość zaczerpniętą z podanego przez Szajnochę zapisku opata wiedeńskiego, Marcina o dziewczynie, która gnana żądzą wiedzy, uczęszczała w przebraniu męskiem na wykłady w Akademji krakowskiej, ale poznana, musiała przyodziać suknie zakonne. Przyczepiwszy tę wersję do Nawojki, jako autorki modlitewnika, dodał Rymarkiewicz do niej drugą, którą już sam sobie wymyślił, a mianowicie, że modlitewnik ten przepisanym został później dla Jadwigi, córki Władysława Jagiełły i Anny Cylejskiej, zmarłej w r. 1431.

Tak powstała bajka o Nawojce-żaku i Nawojce-zakonnicy, z której Rossowski zaczerpnął treści do swojej historycznej komedji. Bajka, gdyż jak powiedziano powyżej, wszystkie czyny, przypisywane autorce modlitewnika, należą do dziedziny romantycznych kombinacyj, wspomnianych powyżej badaczy tej sprawy. Ani akty rektorskie, ani inne dokumenty historyczne owych czasów nie mówią nic o takim fakcie i opat wiedeński policzyć musiał na karb Krakowa wypadek, który się zdarzył gdzieindziej. Co więcej — nawet egzystencja Nawojki, jako autorki rękopisu, jest wątpliwą wobec tego, że w owych czasach, oprócz duchownych, mało kto umiał pisać; najświeższe zaś badania wykazały, że „Modlitewnik Nawojki“ jest tylko odpisem przekładu z jakiegoś wzoru czeskiego albo niemieckiego.

Przytaczając historyczne podstawy akcji w „Nawojce“, a raczej wszelki brak ich, nie mam bynaj-

mniej zamiaru czynić z tego p. Rossowskiemu zarzutu. Poeta ma prawo posługiwać się taką *mala fide*, jeżeli tylko to, co bierze skądkolwiek, ma w sobie poetycki pierwiastek, a on potrafi wydobyć go z zaprószonego zakamarku, ożywić na nowo i tak zbliżyć do duszy słuchacza, żeby go wzruszył. Za cenę tej resurrekcji wolno mu nietylko posłużyć się fikcją gotową lub uzupełnić ją własną fantazją, lecz właśnie, w stosunku jego pracy do prawdy i fikcji historycznej tkwi istota wartości utworu historycznego. Jeżeli też z przytoczenia gotowego materjału powyżej wynika jaki zarzut przeciwko p. Rossowskiemu, to chyba ten, że do tego materjału tak mało od siebie dodał. Wszystko prawie, co jest w akcji „Nawojki“, to znajduje się już w przytoczonych powyżej wersjach o modlitewniku. Jest i tendencja emancypacyjna, jest i przebranie żakowskie i miłostka i poznanie i klasztor i pisanie modlitewnika. To wszystko ułożył tylko p. Rossowski w pewien porządek, ponazywał osoby, między którymi dziać się miało to wszystko o ile ich nie miał gotowych, jak Nawojka lub Jagiełło—a pocharakteryzowawszy je nieco, przesnuł pomiędzy nimi wątłą nitkę psychologji w utworze.

Ta psychologja też i współrzędna z nią charakterystyka figur jest najsłabszą stroną „Nawojki“. Po za tem, że p. Rossowski rozłożył ją na słowa djalogu, które mu się tylko wydały prawdopodobnymi w tych sytuacjach, nie zrobił on nic, coby te jego figurynki przybliżało do nas. Wszystkie stany i przejścia są zaledwie zaznaczone, jakby autor chciał pokazać, że tu by można pójść dalej i ówdzie, ale sam nigdzie tego nie czyni. Przytem brak oryginalności cechuje sposób przedstawienia psychologji tych ustępów, w których wydaje się, że się coś dziać zaczyna, albo by się dziać mogło. Liryczne n. p. wylewy Zycha, w których to z poza szkolarstwa ma przebijać tajone uczucie, są takie jakieś urzędowo-„księżycowe“ i „wiośniane“, jakby już absolutnie zdobyć się nie było można na nic innego. Tak samo w momentach skupiania się stanów duchowych jak np. scenie w więzieniu, cała gama uczuć radości i zawstydzenia, zaledwie wypowiedzianą jest przez Nawojkę i to nie tak, jakby doznawała sama tych uczuć, lecz jakby chciała zwrócić uwagę widza na to, że w niej ma teraz się coś odbywać. Autor cofa się przed wszystkiem, coby mogło być silnem, i jeżeli nie może inaczej uniknąć kolizji z siłą przejść psychicznych, to kończy akt (np. II.), i temu, co by mu mogło dać okazję do rozwinięcia jakiejś znajomości duszy ludzkiej, każe się odbywać poza sceną.

Tak samo jest też i z jego humorem, który polega w większej części albo na figlach sytuacyjnych, albo na komizmie językowych przenośni. Dzięki temu sceny, w których uczuć się daje brak jakiejś silnej wewnętrznej podniety, robią chwilami wrażenie pantominy, a osoby działające udają wprost jakieś narzucone im dla żartu role. Dzięki temu np. taki Jagiełło zupełnie jest niezrozumiały poza sztucznie komiczną powagą i żartobliwością, z jaką prowadzi śledztwo w sprawie Nawojki i Derszka, Kampel udaje zawsze tylko nienawidzącego żaków oberżystę, wójt Fryjer gra szwarccharaktera, potrzebnego do powikłania końcowej intrygi, Derszko bundziucznego warchoła i t. d. Ale co właściwie, nie wyjmując Nawojki, każde z nich poza zaczerpniętą z urzędu rolą przedstawia, tego dopatrzeć się niepodobna. Nie można na serjo rozprawiać się z autorem o prawdę lub nieprawdę psychologiczną, schowaną poza mgłą tych ról, jak rzeczywistość kryje się poza mgłą wspomnienia. Nie widać fałszów, ale też i prawdy nie widać, wobec czego ani o błędach, ani o zaletach mowy być nie może.

Czemże więc jest Nawojka? Obrazkiem rodzajowym, stylizowanym na wzór „Romantycznych“ Rostanda. Tylko, że, podczas gdy Rostand chciał stylizować i na ten temat z góry pozwalał sobie żartować, u p. Rossowskiego stylizowanie stało się istotnem, ale z konieczności, bo do prawdy nie chciał sięgnąć, czy nie umiał. Dlatego to „Romantyczni“, którzy w efekcie, nie w zamiarze autora, są w istocie swojej podobni do „Nawojki“, mają więcej siły i szczerości, jako, iż Rostand na każdym kroku zaznacza, że bawi się swoim światkiem, podczas gdy p. Rossowski chciałby pokazać, co się z tymi jego ludźmi działo, jak wyglądali etc. etc. podczas gdy daje tylko widmo tego, jakby mogli wyglądać. I to niedociągnięcie znać we wszystkiem. Z zamierzonego przedstawienia tła historycznego, które, działając stylem, musi w braku treści psychologicznej działać samo przez się, został tylko, zaznaczony na jednym wypadku, stosunek żaków do mieszczan krakowskich z XV. stulecia. Język, którym mówią bohaterowie Nawojki, nie jest ani w duchu, ani w pojęciach archaicznym, lecz archaizowanym. Obok współczesnych wyrażeń, znanych z literatury rejowskiej, zawiera djalog wiele rzeczy renesansowych, n. p. przeładowanie mitologją, które nastało dopiero z humanizmem itp.

Wogóle „Nawojka“ jest utworem, którego można z zajęciem nawet wysłuchać, bo i zbudowana i napisana jest dość gładko. Ale wnikać w nią nie należy. Za wątła na to, by się do niej dobierać z rzeczową krytyką, i pod jej wpływem rozwiałaby się musiała iluzja pewnej poetyczności i egzotyczności, jaka z niej wieje półsennym urokiem. Takie rzeczy dobre są jako drzemka dla tych, którzy czuwaniem i pracą znużeni, chcą sobie trochę spocząć umysłowo i pomarzyć nieodpowiedzialnie na temat dawnych czasów. Po większe rozkosze iść do niej nie można, silnego i żądnego wrażeń umysłu opętać ona nie zdoła.

S. W.

5) ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Cały dzień następny, w którym, jako we środę, posiedzenia nie było, upłynął Chodom w naprężonem oczekiwaniu. Ale adwokat nie przyjechał i we czwartek musieli iść sami na Hradczany.

Po wejściu na salę Kozina wnet spostrzegł, że sędziowie spoglądali na nich surowiej, niż przedtem i że twarze ich były posępniejsze.

Prezydent zaczął od zapytania, czy wysłali kogo w góry, do swoich. Odpowiedzieli twierdząco, mówiąc świadomie nieprawdę.

— To dobrze, choć może będzie zapóźno. Wasi sąsiedzi nie mają rozumu. Miejcież go za nich wy przynajmniej. O tych starych papierach wiecie już, co należy trzymać. Wróćcież więc do dawnego posłuszeństwa i na znak skruchy złóżcie panu Lammingerowi, prawowitemu swemu zwierzchnikowi, przysięgę na posłuszeństwo i poddaństwo.

— Wysoki sądzie! Uczynić tego nie możemy! — zawołał Kozina.

— Nie mamy upoważnienia od sąsiadów — dodał Ecl — a sami nie możemy, prawa nie posiadamy!

— Raczcie poczkać malućko, wysoko urodzeni panowie! — ozwał się osłabionym głosem Hruby, który dnia tego zaledwie zwlókł się z pościeli, aby stanąć przed sądem.

— A tak, mamy czekać, aż się naradzicie w domu, nieprawdaż? — podjął ironicznie prezydent. — Byłoby to wam bardzo na rękę. Dziś właśnie otrzymaliśmy zawiadomienie, że bunt u was wybuchnął, że wasi porwali burgrabiego z zamku, a do tego czasu zapewne go już zamordowali. Mamyż was puścić wobec tego do domu? Jeżeli złożycie przysięgę, dacie tem dobry przykład sąsiadom i pomożecie burzę zażegnać. W przeciwnym razie postąpimy i z wami, jako z rebeljantami... No i jakże?...

— Nie możemy! — odparł Kozina głosem stanowczym. — Nie zawiniliśmy w niczem. Prawa nasze dotąd nie wygasły.

W sali zapanowała znowu cisza. Sędziowie patrzyli zdziwionemi oczyma na młodego górala.

— A wy — pytał prezydent, zwracając się do pozostałych — trzymacie jego stronę, czy też może zgadzacie się złożyć przysięgę?

— Nie możemy! — odpowiedziały głucho, ale uroczyście, wszystkie głosy naraz.

Prezydent skinął ręką. Woźny w czerwonym kabacie dał znak Chodom, że mogą odejść. Lecz zaledwie znaleźli się na ulicy, otoczyło ich wnet dziesięciu muszkieterów, a oficer, który dowodził tym oddziałem, wydał krótki rozkaz:

— Pójdziecie z nami.

Chodowie szli teraz w głębokiem milczeniu, zwracając ogólną uwagę postawą i strojem. W pierwszej jeno chwili, opuszczając Hradczany, zapytywali jeden drugiego, czy im się nie przysłyszało, że na Chodzku rebelja wybuchła? Ale każdy po kolei mógł odpowiedzieć, jak rychtarz z Chodowa:

— Hej, słyszałech dobrze, jako ów pan ze sądu powiadali.

— To zapewne Przybek!—zauważył chmurnie Kozina, a myśl jego pobiegła ku żonie i dzieciom. Obraz ich żywiej jeszcze stanął mu przed oczyma, gdy znalazł się w mrocznej izbie więziennej.

— Ha no, teraz to już z Panem Bogiem! — westchnął smutnie Hruby, przestępując próg celi, jakby żegnał już na zawsze świat i światło, jak gdyby nie miał nadziei wydostać się kiedy z tych murów posępnych. Osłabiony i smutny, usiadł na twardem łożu z desek i mówił dalej:

— Nas to spotyka, jako kara, za wszystkich innych. Ale co się w domu dzieje, co się w górach naszych dzieje!

A troska podobna trapiła wszystkich uwięzionych Chodów, zwłaszcza zaś Kozinę.

* * *

Nazajutrz popołudniu zbliżał się do Pragi powóz, ciągniony przez parę dzielnych karoszów. Zwracał on na siebie uwagę tem, że na koźle siedział stangret w stroju Chodów domażlickich. Nieopodal od bram miasta powóz ów stanął i trzech górali zeń wysiadło. Byli to: Pajdar z Poczynowic, Brychta z Postrzekowa i Syka z Ujazdu. Z wnętrza powozu wychylił się ku nim wnet jakiś pan w ubraniu ciemnej barwy, o twarzy pełnej, rumianej, którą otaczały bujne kędziory peruki, aż na ramiona spływające. Na serdecznym palcu białej pulchnej ręki, którą opierał o drzwiczki powozu, połyskiwał kosztowny pierścień...

Szlachetnie urodzony pan Błażej Tunkl z Berniczka, którego wyżej wymienieni Chodowie spotkali byli w drodze, mrugał czarnemi przebiegłemi oczkami i w szybkiej, niemal popędliwej mowie tłumaczył, czemu prosił ich, aby z powozu wysiedli, czemu chce wjechać do miasta sam, zupełnie sam. Płynnym słowom towarzyszyły nader słodkie uśmiechy, przytem pan adwokat ściskał ręce swoich klijentów, umawiając się z nimi, gdzie się mają spotkać na drugi dzień.

— Bywajcież zdrowi, moi ludzie — z Panem Bogiem! Spożyjcie smacznie wieczerzę, udajcie się na spoczynek i śpijcie na oba uszy — wszystko będzie dobrze, zupełnie dobrze! Przygoto-

wałem znakomite argumenty dla panów sędziów! Znam się na tych rzeczach — o znam! Więc bywajcież zdrowi, do jutra!

I raz jeszcze, z oddalającego się powozu, pan Błażej Tunkl skinął białą pulchną ręką, której pierścień sypnął iskrami w słonecznem świetle.

— Jakem to już pedział — ten hadwokat jakoś mi się nie widzi — mówił Syka, odprowadzając spojrzeniem powóz, który się zbliżał zwolna do bramy miejskiej.

— Wciążby ino pieniądze brał i brał — dorzucił Pajdar. — To na drogę mu trza, to na powóz...

Tak rozmawiając, doszli do bramy, ale tu zgiełk i zbiegowisko ludzi przecięło im dalszą drogę. Nagle wśród tłumu zobaczyli powóz Tunkla. Zbrojny oddział wojska otaczał go ze wszech stron, wzywając jadącego, aby zechciał wysiąść. Ale ów się nie zgadzał, opierał, z powozu coś do nich mówił we właściwy sobie szybki sposób i temi słowy zakończył swe przemówienie:

— Czemu mię zatrzymujecie? Wiecież kim jestem? — Błażej Tunkl z Berniczka, szlachcic, adwokat.

— Właśnie temu. Pana, nie kogo innego, mamy rozkaz aresztować — odparł krótko oficer.

— Będziesz pan żałował tego kroku, panie oficerze — zobaczysz! — wołał Tunkl, czerwieniąc się coraz bardziej i chciał dalej stawać okoniem, lecz dwaj wojacy uchylili drzwiczki, wywlekli bez ceremonji okazałą postać pana adwokata z powozu i odprowadzili go na strażnicę. Wywołało to śmiech w zgromadzeniu, ludzie huczeli, zapytywali się wzajemnie, odpowiadali, tłumaczyli jedni drugim niezwykłą scenę. Syka i jego towarzysze słyszeli, jak mówiono dokoła:

— Wszak to adwokat onych domażlickich chłopów, onych Chodów, których to wczoraj zamknięto na radnicy Nowomiejskiej.

— Sam przecie widziałem, jako ich wiedli.

— A widziałeś ich ciupagi?... A tego starca, który zaledwie nogami suwał?...

Syka pociągnął towarzyszy za połę od żupana.

— Słyszeliście?... Naszych zamknęli! — Nie możemy wracać do miasta...

— Niechta! Nie duża bieda! Pójdziemy se — i Pajdar już się zawracał.

— Poczkajcie! — zawołał nagle Brychta, nastawiając uszu.

Obok nich ktoś tłumaczył sąsiadowi:

— Jakto? nie wiecie? Zamknęli ich, bo wśród górali bunt wybuchnął... Rządca i kilku urzędników dworskich przepłaciło już życiem...

Syka chwycił się za głowę.

— To Maciej Przybek! — wyrwało się mu z ust okrzykiem prawie.

— Słusznie uczynił... I nam trza doma być! — zawołał Brychta, któremu oczy zaiskrzyły się nagle. — Maciej dobrze robi... Temu i ja idę, cobych ku niemu przystał...

Syka przejęty i wzruszony, nie odpowiedział nic, jeno głową włochatą poważnie pokręcił.

Wpierw, nim skupiony u bramy tłum rozproszył się, zniknęli bez śladu z pośród niego trzej Chodowie, którzy widzieli na własne oczy porwanie swego adwokata, a z rozmów ludzkich dowiedzieli się, że towarzysze ich zostali wtrąceni do więzienia i że w ziemi chodzkiej wybuchła rebelja!...

Tłumacz. *M. Wysłouchowa.*

(C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

W miejscach zacisznych na rzece, gdzie prąd wody jest mniej silny, dają się śledzić wzrokiem ruchy rybek licznych, a nawet i skorupiaków kiełżowatych; te ostatnie są wielce interesujące, a wielkością swoją i ubarwieniem różnią się wybitnie od gatunków fauny europejskiej, słodkowodnej. Tutaj wymienię tylko te formy, których nazwy poświęciliśmy pamięci rodaczek naszych, bawiących w Irkucku pod tę porę, gdyśmy byli zajęci badaniem fauny Angary. I tak: Gammarus Vandae, Sophiae, Casimirae, poświęcone były trzem córkom nieszczęśliwego Webera, towarzysza wygnania Agatona Gillera. Ojciec tych dzieci znalazł grób w Angarze i pozostawił drobne sieroty bez żadnych środków do życia, matka ich i ciotka, urodzone Szwedki, utrzymywały z pracy rąk własnych całą rodzinę; dzieje ożenienia się Webera opisał Giller, — tę historję ciekawą pomieszczam w odsyłaczu*) — dwa inne gatunki: G. Hedrigiae, G. Margaritae, dedykowane były córeczkom Popławskiego Jana, które się następnie wychowywały w Petersburgu i odznaczały niezwyczajnemi zdolnościami. Prawie wszystkie gatunki kiełzów Angarskich mają przeważnie barwę szmaragdową, na tem tle występują rysunki, albo

*) »Hilary Weber, wygnaniec polski, człowiek bardzo zdolny i przemyślny, światły i zamożny, był w związkach poufałych ze wszystkimi, najwyższymi dygnitarzami Syberji. Weber chciał się żenić z młodą i piękną wdową po zmarłym doktorze, który miał stopień majora, Szwedką. Czynownicy i oficerowie dowiedzieli się o tem i nie mogli wyjść z oburzenia, że błahorodna, że majorowa wychodzi za katorżnego.

proste prążkowate, albo o kształtach bardziej skomplikowanych, koloru brązowego, ciemnożółtego lub brunatnego. Oprócz gąbek i skorupiaków, liczne są jeszcze okazy i formy mięczaków, głównie jednak ślimaków, wszystkie one noszą ogólne cechy mięczaków bajkalskich, ale co najważniejsze, że są pokrewne z formami dawno wygasłej fauny, zamieszkującemi wody, należące w przeszłości do systemu morza, albo mórz sarmackich, dzisiaj zostały one odszukane w pokładach trzeciorzędowej formacji Europy, jak np. Hydrobia Frauenfeldu, Liobaicalia sopronenfis etc., w Oedenburskim komitacie na Węgrzech. Fauna tedy Bajkału i Angary jest pokrewną wygasłej dawniejszej w Europie. Fauny ichtjologicznej Angary nie porównywałem z bajkalską, z taką precyzją, na jaką one obie zasługują; chcąc bowiem dokładnie zająć się tą kwestją, potrzeba mieć znaczne środki, obszerne muzea, a co najbardziej konieczne, to są naczynia szklanne i płyny konserwacyjne. W owych czasach, gdyśmy bawili nad Bajkałem, płaciliśmy za zwykłą szklankę porządną pięć złotych polskich, a za butelkę spirytusu 6 złotych i groszy dwadzieścia, wydatki tedy na kollekcję ryb przechodziły o wiele nasze dochody i gdyby nie ofiarowane mi przez Eskadr-majora, generał adjutanta Skołkowa, 120 r. za odbytą z nim podróż po Angarze, nie mógłbym uzbierać nawet i tej drobnej kollekcji, która mi posłużyła do opisania ryb amurskich i bajkalskich. O ile więc sądzić mogę z niewielu pomiarów, uskutecznionych w czasie naszych badań na Angarze, to formy Lipieni (Thymallus Grubii var angarensis), żyjące w rzece, mają stosunkowo krótsze pletwy, niż je mają okazy Lipieni bajkalskich, taki sam stosunek, ale mniej wyraźnie uwydatniony, obserwowałem i odnośnie do innych gatunków ryb, wspólnych Bajkałowi i Angarze.

Temperatura wody w rzece jest niską, ręka, zanurzona w niej latem, uczuwa chłód nieprzyjemny, a termometr wskazuje nie wiele więcej nad 7° R., stąd też w Angarze nikt się nie kąpie, pomimo, że czystość wody zachęca niejednego do tej czynności, szczególnie w dnie upalne, krótkiego lata syberyjskiego, które trwa nie więcej nad dwa i pół miesięcy tylko.

Poczęli więc Webera prześladować, przekupili sługi, żeby wiedzieć o każdym jego kroku, zawiązali prawdziwie romantyczną intrygę; czyhali nawet na życie Webera. Cały kraj nad Szytką wciągnął się w tę walkę przeciw Weberowi, której hasłem było, że błahorodna, za katorżnego iść nie powinna. Młodej wdowie ofiarowali pieniądze na powrót do Finlandji, pokazywali wyrok na Webera, gdzie był na knuty skazany, ale nic nie pomogło: piękna Szwedka wyszła za polskiego wygnańca, a ślub z nim wzięła we wsi Karze tajemnie, z obawy, ażeby w ostatniej chwili arystokraci tutejsi nie przeszkodzili. „Do czego więc tylko tkniemy się“, powiada Giller, „okazuje się pozorem; jak np. liberalizm, demokratyzm i przyjaźń dla polskich wygnańców u tutejszych czynowników i oficerów: pozór i fałsz jest jądrem i cechą główną narodu moskiewskiego... Widziałem jak pochlebiali wrogowi, którego nienawidzą; udają przyjaźń dla niego, względy, szczerość i szacunek, a to z taką zręcznością, że nie wiadomo, czemu się więcej dziwić, czy zręczności, czy podłości“... Giller Agaton. Opisanie Zabajkalskiej krainy na Syberji T. 2-gi str. 97.

Z pism i książek.

Ulaszyn Henr. Kontrakty kijowskie (1798—1898). *Szkic historyczno-obyczajowy. Petersburg, 1900, str. 108* Książeczka składa się z 7 rozdziałów, w których autor kreśli stuletnie dzieje kontraktów kijowskich mniej więcej w następującym porządku: Ukaz cesarza Pawła I z roku 1797 o przeniesieniu kontraktów z Dubia do Kijowa; zewnętrzny wygląd Kijowa w epoce poprzedzającej przeniesienie kontraktów; zjazdy na kontrakty; ruch przemysłowo-handlowy. — Rolnictwo w t. zw. południowo-zachodnim kraju, cukrownictwo, interesa finansowe; „Bank polski“. Ogólny rzut oka na stan kontraktów do połowy bieżącego stulecia w zakresie interesów ziemiańskich i finansowych. — Kontrakty ze strony obyczajowej, życie towarzyskie podczas kontraktów, bale, „bałaguli“, karciarstwo. Handel księgarski, koncerta, artyści, teatr. Drużyna literacka w Kijowie, zjazdy literatów na kontrakty. Kontrakty w latach 1812, 1825 i 1831. Polacy a Rosjanie. — Chylenie się kontraktów do upadku w drugiej połowie XIX wieku, zmiany w handlu kontraktowym, uwłaszczenie włościan, rozwój środków komunikacyjnych. Cukrownictwo. — Ostateczne chylenie się kontraktów do upadku. Rysy charakterystyczne kontraktów w ostatnich latach. *hd.*

Jak powstała nasza ziemia i jaki ją czeka koniec. Dostępnie wyłożył Władysław Umiński. Warszawa. Nakładem księgarni A. G. Dubowskiego 1901. Zasadniczą wadą kosmografji przedstawionej popularnie przez p. Umińskiego jest to, że chcąc ją dokładnie zrozumieć — należy przedtem przeczytać kilka innych również popularnych książeczek, które autor w przedmowie wymienia. — Czytelnik, któremu wpadnie w rękę niniejsza książeczka, z pewnością nie będzie się starał, aby tamte nabyć i tak pożytek z niej niewielki odniesie. — Po za tem przedstawiona jest w tem dziełku teorja tworzenia się planet i słońc według Laplace'a i Fay'a, a zarzucićby można autorowi tylko niedość ściśle niektóre wyrażenia, mogące czytelnika bardzo łatwo w błąd wprowadzić. Jako przykład wymienić można choćby takie zdanie, w którem autor porównuje gwiazdy widoczne gołem okiem do punktów świetlnych, nie mających „żadnych wymiarów“ a zaraz o kilka wierszy niżej charakteryzuje te same nieistniejące wymiary jako „nikłe“, a więc istniejące. — Drobna to na pozór rzecz, ale tem bardziej na nią uważać należało, już choćby z uwagi, że co nie ma żadnych wymiarów, nie może być widocznem, a bezwymiarowy punkt jest ściśle abstrakcyjnem pojęciem, używanem w matematyce.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.